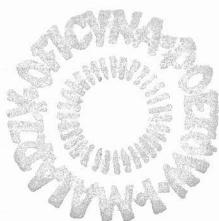


FRANCISZEK LACHOCKI

MODRZEWIOWY  
DOM



OFICyna POETÓW I MALARZY  
LONDYN, 1971

© Copyright by Franciszek Lachocki  
London 1971

Tegoż autora: GNIAZDA JASKÓŁCZE  
Londyn, 1970.

Printed in Great Britain by Poets' and Painters' Press,  
146 Bridge Arch, Sutton Walk, London, S.E.1.

I

WIECZNOŚĆ

*„Z rzeczy świata tego ostaną tylko dwie.  
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic“.*

*C.K. Norwid.*

## A GDZIEŻ SĄ PROCHY?

Ile waży to, co po człowieku zostaje?  
Wiatr lat i wieków — porozgania, deszcz zmyje.  
Nie ma uszczelnień na zatracenie.  
Słowo tylko, zapisane, nie płowieje, nie ginie.  
Potomni ziarno rzuca w ziemię  
i kwiatem się objawi, im, zdziwionym...  
Dobrocią się pomnoży jak pszenica,  
kłosami się rozwiemożni, zadziwi —  
i zazieleni się w czulej na słowo duszy.  
Relikwię w bibliotekach złożą,  
w oprawnych księgach zamkną...  
I spojrzą w zdumieniu na siebie, czasami —  
i obwołają wielkość... po imieniu.

A gdzież są prochy? Nie ma...

A słowa gdzie? Z n a m i!

Pamięci Cypriana K. Norwida

## UCZYNEK

Błękit nieba i lazur wód toni  
z wieczności — i jest na codzień, jak na dłoni.  
Bierz i kap się w nim, wzrokiem spijaj.  
Czy ta ziemia jest twoja? Nie. Niczyja.  
Przelotnikiem jesteś — jak pyłek mietlicy, —  
twój wiek — to tylko zygzak błyskawicy.  
Chcesz ziemią kupczyć, dzielić na kwadraty,  
prostokąty, zestawiać zyski i straty?  
I odchodzisz zgrzybiały, bez nasycenia wzroku  
lazurem i błękitem? Doład? Do wiecznego mroku?  
A gdzie twój uczynek? Jakaś to życie strawił?  
Z czym w ciemność odchodzisz i coś ty tu zostawił?  
Gdzie jest twój czyn, gdzie twego życia znak?  
Umrzesz nie jak człowiek, a znikniesz jak ptak!

## CISZA

Nie ma ciszy w ziemi, w kopalniach i rzekach,  
nie ma ciszy w lasach i w dżunglowej gęszy, —  
jest cisza w sumieniu, w głębi czystej duszy,  
otwartej do czynu ulepszeń człowieka.

Ciszę i ten mąci kto już ledwie dyszy,  
nie ma ciszy podzwonnej, jest cisza pogrzebna; —  
ten ją rzadko miewa, komu jest potrzebna, —  
musi żyć w hałasie, choć wołałby w ciszy.

Rankiem nad strumykiem, pluszczącym w podskokach.  
można zmierzyć ciszę termometrem głosów,  
jeszcze lepiej w polu w zapyłaniu kłosów,  
lub perłami skowronka daleko w obłokach.

Pójdź za łzą, płaczącej matki po swym synie  
i słuchaj jak spływa bezdźwięcznie po twarzy;  
cisza tak głęboka, że rzadko się zdarzy  
by ją słyszeć, choć po twarzy płynie.

Bo dźwięki weszły w serce bijące boleśnie; —  
serce matki kołacze młotem niespokojnym,  
że syn już nie wróci z tej dalekiej wojny  
i że odszedł w zaświaty tak bardzo zawczasie.

## REX CHRISTE

Doktorowi Antoniemu Gładyszowi

W domu zapachniało wanilią i arakiem,  
zapachy drożdżowe wyszły na ulicę,  
wszystko już igrało wielkanocnym znakiem,  
tylko dzwony zamilkły, zamknięto dzwonnice.

Wielki piątek. Klekotki. Wielkopostne pienia.  
Grób Chrystusa w kwiatach. Ludzie rozmodleni, —  
przyszli tu uprosić wiecznego zbawienia  
i Chrystus im powiedział: „Jesteście zbawieni“.

I dzwony uderzyły: „Tobie cześć i chwała!“  
Z martwych wstałeś, Chryste, i my w Twoje ślady  
kornie iść chcemy — ta nasza Polska cała —  
pozwól nam należeć do Twojej gromady.

I otocz swą opieką nasz kraj ukochany,  
swą wielkość nam okaż, miłosierny Boże,  
otrzyj łzy z naszej ziemi, którymi zalany  
kraj nasz — i sam ich wysuszyć nie może.

## MSZA W LESIE

Ofiara się odbywa na ołtarzu w lesie,  
przyklekła pobożnie / młódź sośniana,  
chóralny śpiew ptaków wiatr do nieba niesie,  
a do mszy służą brzoźki. W roli zakrystiana

srebrny świerk, tuż obok — i kadzi, i kadzi,  
aż las cały się zbudził z nocnego uśpienia  
i wokół świętej Ofiary pobożnie się gromadzi,  
wznosząc w niebo swe leśne modlitewne pienia.

Ksiądz hostię podnosi, Chleb staje się Ciałem,  
chylą się korony drzew przed Tajemnicą,  
ptaszki leśną konwalia dzwonią Stwórcy chwałę  
i szukają przeznaczeń za życia granicą.



## MODLIĆ SIĘ MOŻNA WSZĘDZIE

Modlić się można wszędzie,  
byle w samotności; —  
na białych brzoźkach psalmy  
czytać i powtarzać,  
w cieniu, w dzień upalny,  
jak u stóp ołtarza.

Modlić się można wszędzie,  
byle czystym sercem,  
tak miękkim jak wosk gromniczny —  
i wyzalić w rozterce  
swój ból chroniczny,  
aż go po modlitwie — ubędzie.

A taka modlitwa, z grzechem,  
płynie kryniczną strugą  
i kwietnym wdziękiem,  
aż pod lasu smugą  
zaszumi pszczoł brzękiem  
i aż w niebie odbije się echem.

Modlić się można wszędzie,  
w ogrodzie wśród kwiatów,  
litanie śpiewać z petunii —  
i tak jak u Oblatów,  
gdy dusza biała jak łąbędzie —  
przystępować do komunii.

## KOŚCIÓŁ

Kościół się zamienił w garaż,  
albo w magazyn zboża, —  
tego się doczekała stara  
świątynia boża.

Król-królów wciąż tam mieszka —  
w tym domu z worami chleba,  
nie pilna Mu jest ucieczka  
do lepszego domu, do nieba.

On z murów tych i z witraży  
błogosławieństw udziela,  
niewidzialny płomyk się żarzy  
przed Ciałem Zbawiciela.

Organista gra i chór śpiewa,  
melodie nikną w dali, —  
i Bóg na tych się nie gniewa,  
którzy dom Mu zabrali.

## PRZED TRONEM STWÓRCY

Tron Stwórcy nie jest  
ani złoty, ani ozdobiony perłami, —  
mądrością jest rzeźbiony,  
jest jasny, przezroczysty —  
i zroszony ludzkimi łzami.

Pod tronem płynie rzeka —  
z potu człowieka,  
a z ludzkiej zazdrości  
dach nad tronem skrzy się.  
Fundament pod tronem — to kości,  
sklejone ludzkim „widzi-mi-się“.

Przed tronem stoi biedak cichy,  
tuż koło dywanu z ludzkiej pychy —  
i popłakuje jękliwie —  
od tysiącleci,  
a przed tronem, chępliwie —  
orszak możnych  
złotem świeci.

Świeci i błyska,  
skandując  
swoje słynne nazwiska.  
A biedak —  
nawet imię  
swoje zapomniał:  
zostało — w R z y m i e.

## SPOWIEDŹ W LESIE

Czesławowi Maliszewskiemu

Nauczcie się modlić do roślin,  
by się spowiadać przyrodzie, —  
chwytajcie lasu oddechy,  
pijcie malin uśmiechy,  
i żyjcie w zgodzie.

Nauczcie się modlić w ciszy —  
samotnie, nie w tłumie,  
wśród stokrotek, złocieni,  
a wśród maków czerwieni —  
Boga szukajcie w rozumie.

Nauczcie się chwytać zapachy  
czeremchy na wiosnę, a w lecie  
łubinów, maciejki, rezedy —  
i gdy już umiecie, to wtedy  
wam powiem, że żyjecie.

Nauczcie się kochać Ojczyznę  
gdzie matka ~~da~~wała wam życie,  
gdzie wierzby i topole  
przy drogach — i gdzie pole  
skąpane w ziemniakach i życie.

Nauczcie się śpiewać psalmy,  
nie dawidowe, swoje —  
do leśnego ołtarza,  
gdzie echo śpiew wasz powtarza  
i zabiera niepokoje.

Nauczcie się wichrów skowytu  
i okiennic łomotu  
w jesienne wieczory dżdżyste,  
a poznacie dlaczego Chryste  
umierał w czasie grzmotu.

## TRZY ŚWIATŁA W LESIE

Wyszły trzy światła na polankę w lesie.  
Jedno światło rodzi dzieci,  
drugie światło życiu świeci,  
trzecie — wiekuiste.

Światło buduje i życie z sobą niesie.  
Z lasu dom się łatwo skleci,  
z lasu zabawki dla dzieci  
i Tobie ~~na~~ Krzyż, Chryste.

## POSAĞ

Stoi kamień zmartwiony,  
kształtami okuty,  
na nim czas miniony  
kamiennej pokuty.

Granitowej górze  
skradli połec ciała  
i w nim — wiór po wiórze —  
ręka czegoś szukała.

I znalazła postać  
egipskiej piękności —  
i kazała zostać  
dla p o t o m n o ś c i.

II

Z I A R N O

## PRZEPRASZAM

Mojej „Kropeczce“

Przepraszam was szumiące lasy,  
przepraszam was zbożowe łąny,  
przepraszam, że tej waszej krasy  
ja nie podziwiam — ja, sflakany.

Łza mi się kręci w moim oku  
gdy o was myślę — i zakrywa  
dawniejszą pamięć — i widoku  
tamtego piękna mi ubywa.

Przepraszam was stokrotki polne  
i te strumyki srebrem lśniące —  
w kamykach żwawe i swawolne —  
i maki na polu płonące.

Przepraszam jaskry, osty, miętę,  
konwalie, lilie i bławaty, —  
przepraszam żyta świeżo zżęte  
i inne ogrodowe kwiaty.

Przepraszam rdesty i kąkole,  
piołuny, skrzypy i pokrzywy...  
Rolnik nie lubi was w stodole,  
a dla mnie widok was jest żywy.

Przepraszam chmury z piorunami  
i grad siekący w polu zboże, —  
dziś patrzę na to ja ze łzami  
i nikt mi ulgi dać nie może.

O, gdyby przyszła taka chwila,  
by, siedząc gdzieś tam przy jabłoni —  
bym mógł podziwiać — jak motyla  
któreś z mych wnucząt w biegu goni.



By z wędką usiąść tam nad rzeką  
i patrzeć na pływaka jak ruszy...  
Czemuż ja sięgam tak daleko  
aż ta odległość pamięć kruszy?

Ja niepotrzebnie o tym piszę  
i niepotrzebnie to rozgłaszam,  
lepiej się schować gdzieś w zacisze  
i tylko powiedzieć: Przepraszam.

## SZARA GODZINA

Czeremchowe zapachy tuż przed Wielkanocą,  
i jabłka — już pod jesień — co się w słońcu złocą,  
i rosa poranna, co na trawie leży,  
i klekot bociana na dachu stodoły,  
i pogwarki dzieci, idących do szkoły —  
to stoi mi w myśli. Któż w to nie uwierzy?

A lubię, po pracy, w tę szarą godzinę,  
gdy słońca już nie ma i niebo jest sine,  
bez światła i w ciszy — wierście, czy nie wierście —  
siedząc tu w fotelu, w dal myślami gonić,  
guziki naciskać i do domów dzwonić,  
nie tu, a w moim na Polesiu mieście.

Lubię w sadzie pochodzić, posłuchać pszczół brzęku,  
muchy wypuścić na wolność, uwięźle w okienku,  
ptakom ziarna sypnąć, usiąść na ławeczce,  
zapachami się sycić, pierś napęlić do dna —  
i siedząc, patrzeć w gwiazdy, chociaż noc jest chłodna,  
a potem to zapisać w tej mojej księżeczce.

Aż maciejka zapachem silnym mnie odurzy —  
i aż dusza się zabłąka w astralnej podróży,  
aż zabłądzi, strwożona, za sąsiada miedzę,  
na łan falujący od wiatru podmuchu  
i z podziwu stanie w zadumie, bez ruchu...  
W pokoju już jest ciemno, a ja w fotelu siedzę.

I cóż mi te miraż, te myśli płochliwe,  
i tamte obrazy, co mi stają żywe?  
Nie ujrzę już rosy, ni wron na ścierniskach,  
ani tych zakątków, gdzie biegałem wolno  
podczas przerwy w szkole razem zariatwą szkolną,  
w pamięci tylko stają te miejsca i nazwiska.

## PO ROSIE

Bywa, że czasem, rosą owiany,  
gdy wyjdę z domu — rankiem, o świcie, —  
przypomni mi się — Boże kochany —  
młodzieńcze życie.

Każdy krzak wtedy śmiechem mnie witał,  
wróble ćwierkały nad mokrym dachem,  
a radość życia — ta, niespożyta —  
rosła z rozmachem.

Rosa się lśniła w porannym słońcu  
kulkami wody świeżo skroplonej;  
w głębi ogrodu, na samym końcu —  
krakały wrony.

Rośliny, wdzięczne ożywczej rosie,  
czekały pierwszych słońca promieni...  
Komuż to mówić, czy temu kto się  
wstać rano leni?

Biegaj o świcie po trawie boso,  
w stopach poczujesz przyrodę całą,  
a jeśli zaziębisz się chłodną rosą —  
biegałeś za mało.

## STROFA O GUZIKU

Szkiełkiem się uzbroił homo sapiens hardy,  
wglądnął do wnętrza atomu, nieustanny badacz,  
przez szkiełko, we wszechświecie, zliczył gwiazd miliardy  
i bombę zbudował na sobie, śmierci zapowiadacz.  
I siedzi uśmiechnięty i dumny z wyników, —  
twierdzi, że na życzenie ta siła może błysnąć —  
i w tym celu ponastawiał, gdzie trzeba, guzików —  
i mówi, że wystarczy jeden z nich nacisnąć.

## ROZMOWA Z ŻYDAMI

Semicki narodzie, rodu Abrahama,  
synowie Sary — od Ewy i Adama.

Wy, wieków pasterze, handlarze też wieków,  
na wasze cierpienia nie znalazł nikt leków.

Narodzie talentów, narodzie zdolności,  
aż przyszło, że zbrakło i ludzkiej godności.

Strzaskane kolumny i płacz ścianę rosi,  
łyż po niej spływają i gwiazdę się nosi.

Gwiazdę dawidową, uznaną za świętą,  
na hańbę do ubrania przed śmiercią przypięto.

Stanęło wam w drodze kainowe plemię —  
kominem puszczali i grzebali w ziemię.

A świat się przyglądał tej waszej bezsile  
i nikt nie zapłakał na waszej mogile.

Posmutniała gwiazda hańby — Dawidowa —  
teraz głosem krzyczy, a wtedy ani słowa.

Teraz się znalazły protesty, rozprawy,  
a wtedy nikt się nie upomniał o losy Warszawy.

Ja nie mówię — miasta, lecz getta w tym mieście.  
Jak chcecie osądźcie i jak chcecie weźcie.

To co teraz mówię swej prawdy nie traci,  
bo mogliście — bogaci — ratować biednych braci.

## MOJŻESZ

Kołyska spleciona z sitowia  
i dziecko w niej kwili...  
Księżniczka podeszła do rzeki,  
krzyknęła — i dziecko wyłowili.

Rośnie chłopak przy dworze,  
w mądrości się pomnaża,  
lecz jakoś modlić się nie może  
do egipskiego ołtarza.

Bunt mu we krwi powstaje, —  
wie, że nie z tego plemienia,  
śnił mu się inne kraje,  
z innego pochodzi nasienia.

Zebrała się żydowska starszyzna,  
tych uciśnionych ludzi, —  
uznali, że wielka tężyzna  
w ich księciu się budzi.

I okrzyknęli go wodzem  
ich krzywdzonego narodu —  
i Mojżesz wystąpił w todze  
przed faraonem — za młodu.

I zażądał zwolnienia  
ich z egipskiej niewoli —  
hebrajskiego plemienia  
z ciężkiej żydowskiej niedoli.

Faraon palcem nie ruszył  
na wyrażenie swej zgody, —  
aż przyszły lata suszy,  
zabrakło na polach wody.

I klęska głodowa i plagi  
(egipskimi i dziś są zwane), —  
zwolnienie nabrało wagi —  
i odeszli — w nieznane.

Czterdzieści lat błądzili  
i manna dla nich padała,  
ze źródeł wodę pili,  
co z laski Mojżesza tryskała.

I doszli aż do brzegu,  
nad Morze Czerwone —  
i szukali zabiegu  
by przejść na drugą stronę.  
A po cóż wódz jest w narodzie,  
wódz mądrości i siły, —  
on laską uderzył po wodzie  
i wody się rozstały.  
I przeszli suchą nogą  
na przeciwległe wybrzeże.  
Za nimi poszli tą drogą  
egipskiego pościgu żołnierze.  
Ta pogoń faraona  
dla zatrzymania zbiegów —  
została zatopiona,  
gdy woda wróciła do brzegów.  
A wtedy Mojżesz wszedł pieszo  
na górę Synaj — wysoko,  
a Żydzi, wielką rzeszą,  
stanęli obozem — szeroko.  
I stało się dnia pewnego,  
że Mojżesz wrócił ze switą —  
i miał tablice, a na nich  
przykazania wyryto.  
I Mojżesz przemówił, a rzesza  
słuchała go z pobożnością,  
bo twarz i głowa Mojżesza  
promieniowała jasnością.  
„Bóg-Ojciec — powiedział rabbi —  
nas wywiódł z egipskiej niewoli,  
przez morze, bez korabi —  
przeszliście — i dalej iść wam pozwoli“.  
„I dał wam te przykazania,  
spisane dla was przez Boga,  
zależnie od ich przestrzegania  
uściele się wasza droga“.  
I dodał: „że z tego plemienia,  
które z Dawida pochodzi,  
czekajcie narodzenia  
Mesjasza, bo z was się narodzi“.

## STROFA O OCZEKIWANIU

I ubił barana, który pod rękę się nawinął  
i dlatego ten syn, Izaak, nie zginął —  
i dał ród wielki, mocny, dynamiczny  
i tron po Abrahamie — dziedziczny.  
I choć fale burzliwe ten naród gniotą —  
żyje: i bogactwem, i nędzą, i biedotą...  
I słowami proroków nieszczęścia rozprasza,  
czekając tysiąclecia na swego Mesjasza.



## JERYCHO

### I

Kapłańskim dostojenstwem wielmożnieje droga,  
kraina kanaańska jest na postów ustach,  
ujrzyć pierwsze osiedle już z grzbietu wielbłąda  
i Baal wieść im niesie oddechami pastwisk.  
Zazdrosna Asztarte — w zielonym gajku  
klucz płodności trzyma w zanadru głęboko  
i nikomu nie da z Jozuego straży,  
aż sam wódz nie złoży pokłon jej należy  
i przed jej mężem, Baalem, nie klęknie pokornie.  
Asztarte wielmożnieje pychę i rozumem —  
żaden miecz nie wart tyle co jej zieleń świeża,  
o miecze jest spokojna, Baal zna ich liczbę  
i kanaańskie dłonie, które władną nimi.

### II

Słońce się pochyła i wchodzi w łuk zimy...  
Mat porywa Baala na sen do podziemi;  
bez pana natura obumiera w smutku,  
Asztarte w płaczu liczy zimy dni samotnie.  
Słakana i bezradna — spija deszczu krople  
i „szafatów“ rady zasięga, stroskana.  
Pełne jęków i płaczu procesje żałobne —  
razem z samotną Asztarte czekają litości  
i końca martwoty życiodajnej gleby.  
Aż nadejdzie goniec z Sziloh z wieścią dobrą  
o dniu świątek, co łamią zimę na połowę —  
i siedem smolnych beczek stanie tu w płomieniach,  
rozaśni się oblicze zmartwionej Asztarte  
i ptaki gniazdka uściełać zaczną po tym znaku.  
Siedem dni procesja, w tańcach i rozgwarze,  
idzie do ołtarza, do brzegu Jordanu.  
Tu ma się ukazać płodności bóg Baal  
i przez pątników ofiary zmartwychwstać dla ludzi.

Ogrzana słońcem Anat potężnie w sile,  
aż zwalczy złego Mota, pogromcą Baala.  
Uwolniony Baal błyskawicą zagrzmi  
i zielenią przykryje przepoconą glebę,  
na drzewa szum liści wypuści z swej dłoni  
i wywoła traw grzywy, uśpione bez niego.  
Rolnicy Kanaanu okadzą ołtarze  
z posągami Baala i żony Asztarte  
i chwałę tę wzniosą wspólnie z pasterzami,  
z ich wodzem na czele — i dla ich Jahwe w Sziloh.

### III

Urodzaj rozjaśnia zatroskane twarze,  
kadzidlane dymy chwałę niosą w niebo,  
w skarbcu Izraela gromadzą się cykle,  
wyprawa na Jeryho jest na ustach wojów.  
Jezubejskie wozy, blachami okute,  
popłoch niosą ostrzem, tnącym niby kosą,  
Howejczyckie miecze — krótkie, obosieczne —  
tnąć zdolne niechybnie lekkością zamierzeń.  
Halabardy Amorów — to broń błyskiem straszna,  
kiedy Amoryta zamłynkuje w koło.

### IV

Zebrani pod wodzą izraelskiej władzy —  
wyruszają w pochód pod bramy Jerycha.  
Już stoją wokół murów obozem szturmowym,  
już widzą jak te mury nie jest łatwo skruszyć  
i wiedzą ile w mieście skarbów tam się chroni —  
i ochota rośnie zdobyć skarby one.  
Ślą posłów do króla możnego Jerycha,  
lecz ci już wracają z niczym, bo z odmową.  
Zapada decyzja zdobywania szturmem,  
ale mury są grube i twarde jak skała.  
Tygodnie już płyną na szturmowych walkach,  
w dzień biją taranem, w nocy podkop ryją,  
mury stoją nadal — twierdzą niewzruszoną,  
ledwie kilka cegieł wykrusza się dziennie.

Wódz Izraelitów przed ołtarzem Jahwy  
pada na oblicze — modli się o radę.  
Leży tak godzinę — aż podnosi czoło  
i zaraz komendę wydaje swym wojom.  
Każe zebrać trąby i różne piszczałki,  
brzęczące naczynia, bębny i terkotki,  
wszelki sprzęt podręczny, zdolny hałas czynić  
i z takim rynsztunkiem, wraz z normalną bronią,  
każe uformować pochód wszystkich wojów.  
Idą. Ciągną wielkim tłumem zbrojnym  
dookoła murów wiele dni i nocy,  
czyniąc hałas straszliwy z piersi kroć tysięcy.  
Wtem — na znak podany — włączają się trąby —  
i mury padają jakby więź straciły.  
Wojsko wpada do miasta. Twierdza pokonana,  
a batalia, jakiej nie ma w dziejach świata,  
przez bibliopisarza do ksiąg zapisana.

## LECI DO NIEBA BEZ NOGI

Chmurę nawlokło czarnym dywanem  
ponad cmentarza parcele; —  
przyszliśmy żegnać dziewczę kochane  
żałobni jej przyjaciele.

Geza głos strąbił — i kruki, i wrony,  
zwołał chusteczki splakane...  
Te łzy nie opłaczą — choć całe galony —  
stracone to dziewczę kochane.

W trumience czarnej, nie pełnej miary,  
leży wiek szkolny z pół-drogi; —  
stanęły życia dziewczęcia zegary, —  
leci do nieba bez nogi.

Nie jeździć za szybko po gładkim torze, —  
tak ostrzegali ją skrycie...  
Kto jeździ szybko, to wozu może  
starczyć na całe życie.

III

OJCZYŻNA

## TAM GDZIE CHODZIŁEM

Tam gdzie chodziłem,  
po mchach i po piaskach,  
po leśnym pośłaniu,  
w życiu zawiłym,  
w promienistych blaskach,  
w lat moich zaraniu —

tam moja dusza,  
spłakana i biedna,  
milczeć siebie zmusza  
i skrada się tajemnie —  
tylko sama, beze mnie.

Przeleci ulicą,  
w studni dzień przesiedzi,  
z cicha tam pochlipie,  
(żał ją gryzie bólem) —  
jak tam jest — wysłodzi,  
schowana za ułem,  
skryje się za płotem,  
znów zmieni się w nicość —  
i jest ze mną z powrotem.

## TESTAMENT

Pod nogami piaszczysta droga  
i grzechy w plecaku —  
jak piąć się wzwyż?  
A trzeba iść,  
do celu iść,  
choć boli krzyż.

Z wiatrem było lekko  
i szło się po równej drodze,  
jak na łódce pod żaglem, —  
lecz z obu stron  
powiał wiatr  
i wszystko — urwało się nagle.

Rzucony na fale bez steru,  
na walkę z żywiołem  
o prawo i byt,  
a tamto co było  
gra tylko melodią  
jak muzyka z dawnych płyt.

Z międzywojennych, które w kuferku,  
w skrytce pamięci  
chowam jak sakrament, —  
wyjmuję, gram, słucham  
i tym żyję, bo to jest  
mój testament.

## ZAROSŁA NASZA DROGA

Cóż z tego że semafor pozornie otwarty; —  
ktoś grał tam bez nas i przegrał nas w karty.

Nasza lampa tu była, wyłącznik był w dali,  
wyłączyli prąd w Jałcie — i poumierali.

Droga się zmyliła gdzieś tam na zwirotnicach,  
z książki naszej zniknęła ostatnia stronica.

Nie szukajcie Jagiellonów, nie szukajcie Piasta,  
zarasta droga za nami, boli i zarasta.

Zarosła nasza droga, lasem już zarosła, —  
nas już nie szukajcie, fala nas rozniosła.

Latorośle już inne, choć z tegoż korzenia,  
ani ducha w ich sercu, ani w ustach imienia.



## PRZEPADŁY O NIM WIEŚCI

Czy to osty są na polu?  
Ciernista droga dla ślimaka.  
Nie ma żyta — i nie ma kąkoluu...  
Czyjaż to działka niezasiana taka?

Wiatr dmuchawce niesie,  
badylem suchym szeleści...  
Gospodarza nie ma, on w lesie,  
przepadły o nim wieści.

Już ludzie kopią ziemniaki,  
a tego pola nikt nie orze,  
odlatują już ptaki  
i zimniej się robi na dworze.

A ziemia nie zasiana,  
nie będzie w domu chleba...  
Śmiertelna to była rana,  
już mu chleba nie trzeba.

## ROZMOWA Z INWALIDĄ

Na kółkach, nie nogami, po ziemi się wleciesz,  
a gdzież jest tamten zapal i honor twój dumny,  
teraz wozisz rękami te resztki człowiecze —  
aż włożą cię, rycerzu, do połowy trumny?

Cwierć wieku odeszło i twoja ofiara  
jak dym się rozwiła i nie dała plonu, —  
daremnieś wędrował gdzie Chiwa i Buhara  
i do domu wracałeś na zew swego dzwonu.

Ja wiem, że ty chciałbyś zajrzeć w swoje strony,  
posiedzieć gdzieś w ciszy nad poleską rzeką,  
do lasu pójść po grzyby w towarzystwie żony,  
jak wtedy, gdy nie byłeś, jak dzisiaj, kaleką.

I tobie się zdaje, że tam koło Kamienia,  
dom twój stoi jak dawniej na polance w lesie —  
ja wiem, że twoje serce, zbolełe z cierpienia,  
jak gołąb pocztowy w tamte strony rwie się.

Ptakom jest to łatwo, nie tobie, inwalido,  
który Ojczyźnie oddałeś swe nogi,  
dla ciebie te czasy już nigdy nie przyjdą,  
jesteś przywiązany w szpitalu do podłogi.

Jedynie możesz w łóżku, gdy sen zamknie oczy,  
myślą tam pochodzić w Koszyrskim Kamieniu,  
bo teraz w twoje myśli żaden wróg nie wkroczy  
i nie zabroni tamtych ludzi wołać po imieniu.

## MOWA OJCZYSTA

Gdy świat się zatracił w zmaganiach gmatwaninie,  
nasza myśl się znalazła na chwiejnej pochylni —  
i tak się chybcze i w nieznane płynie,  
choć niektórzy twierdzą, że będziemy silni.

Kto w rozterce ducha i myśli błędzącej  
w mowie ojczystej nie szuka oparcia,  
kto w sercu nie czuje miłości gorącej  
do swej mowy — ten godzien pożarcia.

Hańba dla pokoleń — to utrata mowy,  
odpryski młodzieży — to choroba rdzenia,  
utrata języka — to więcej niż głowy, —  
wiary w Polskę utrata — skażenie sumienia.

A gdy się tak przetopi młode pokolenie  
na takich cudzoziemców, co nam zdradę szyli,  
nikczemnym się stanie to nasze sumienie —  
i tych przysłych ojców, co mowę stracili.

## ONI Z PIASTA-KOŁODZIEJA

Nad ruiną naszych miast  
i nad klęską wielokrotną  
dziesięć wieków czuwa Piast,  
opłakuje Ją samotną.

Opłakuje ją zdradzoną,  
opłakuje zapomnianą,  
z Polską płacze uciśnioną,  
w prawo, w lewo przesuwaną.

W polu znalazł trzy mogiły.  
W jednej — słucha — kwili dziecko...  
Oczy mu się otworzyły —  
znalazł kulę w nim niemiecką.

Przy mogile brzoza rośnie,  
na niej kos przystanął w locie  
i zagwizdał coś żałośnie  
w ptasim bólu i tęsknocie.

W drugiej ksiądz był pochowany,  
który nie stchórzył przed siłą, —  
został on tam rozstrzelany  
za modlitwę nad mogiłą.

Miał pięć kul po całym ciele,  
brewiarz trzymał jeszcze w ręce —  
i modlitwy, jak w kościele,  
szeptał w pośmiertelnej męce.

Ten duch Piasta mieszka w lesie,  
oblatuje, wieści zbiera:  
kogo los tutaj zanieśie,  
kto tu walczy, kto umiera.

Słucha przekleństw, które z wojną  
idą w parze, szpecąc zgliszcza —  
i modlitwy, która zbrojną  
brać — z grzechu oczyszcza.

Ducha towarzysom grzeje,  
strategiczne daje plany  
i podnieca im nadzieje —  
wywiadowca zaufany.

Oni wiedzą to dokładnie,  
że są z Piasta-kołodzieja,  
że włos z głowy im nie spadnie  
jeśli w nim będzie nadzieja.

## GARŚĆ WSPOMNIENI

Zabolało —  
i ból się przekształcił w chroniczny...  
Pachną mi wrzosa nocami  
i grzyby widzę rankiem na rosie —  
taki jest mój los zagraniczny.

A przecież tam —  
zrywało się dojrzałe jabłka z jabłoni,  
garść słodkich węgierek ze śliwki,  
albo porzeczek dojrzałych kiści...  
A tutaj? Owoce nie pachną —  
tylko piecze — peperoni.

A tam mi bochenki —  
z chlebowego pieca świeżo wyjęte —  
pachniały. Równoległe z życiem  
ten zapach jeszcze koczuje  
i trąca struny pamięci —  
napięte.

I strumyk —  
tam pluskał po kamykach,  
a w nim gwiazdy — w ciemnościach --  
zniekształconym światłem błyskały  
i dziś mi, tamto światło —  
to błyska, to znika.

A tu — błyskają —  
tylko światła samochodów w nocy —  
i mokra jezdnia asfaltowa —  
podczas deszczu i słoty —  
i to są dowody — naszej —  
i ich tu — niemocy.

O, ból jeszcze tu stoi —  
w tej piersi, pełnej dymów i czadu, —  
tak się chce odetchnąć  
puszczańskim powietrzem  
i zapachem siana w stodole,  
ale tego tu nie ma —  
ani śladu.

## TAMTO WCIAŻ WRACA

Gwiazdka pierwsza wieczorna, światłem migająca —  
i siano pachnące, w domu, pod obrusem —  
wszystko to pamięta ta miłość gorąca,  
której pościć kazano do dziś pod przymusem.

I te janczary, co grały saneczkowym śmiechem —  
i rumieńce tryskające mrozem roześmianym,  
a wszystko to dziś boli zatajonym grzechem,  
jakimś nieproszonym tamtych lat wspominiem.

To, tak jak widziadła, którymi straszą dzieci; —  
straszne, ale oko chce spojrzeć na to spod powiek,  
tak i pamięć tamta, chociaż ból roznieci,  
ale jej się opędzić nie jest zdolny człowiek.



## SZKIC WOJENNY

Biją gotyk w gruzy,  
z renesansu złomy,  
cóż pomogą Muzy,  
gdy walą się domy?

Gdy niszczeją w żarze  
biblioteczne zbiory,  
gdy to czynić każe  
homo sapiens chory?

Kiedy dzikość bierze  
nad rozumem górę,  
cóż nasze pacierze,  
cóż wyprosisz piórem?

## JAKAŻ TAM TRAWA JUŻ WYROŚŁA?

Jakaż tam trawa już wyrosła  
na tamtych ścieżkach, gdzie biegałem?  
Nie znajdę już tamtego wiosła,  
którego w łodzi używałem.

I nie ma lampy tej, naftowej  
przy której Konopnickiej wiersze  
czytałem ja w porze zimowej  
i miałem te wzruszenia pierwsze.

I lasku tego, gdzie po grzyby  
chodziliśmy porankiem, wcześniej —  
też pewno nie ma, bo gdyby  
był, to widziałbym go we śnie.

I tamten Kac, co obwarzanki  
wypiekał świeże i chrupiące —  
chyba też odszedł. I macierzanki  
też tam nie ma — spaliło słońce.

I nie ma gwiazdki tej, co pierwsza  
wigilię dla nas otwierała...  
O, ja nie skończę tego wiersza,  
bo dusza z żalu zapłakała.

## ROZMOWA Z LISTONOSZEM

Co ty masz w tej torbie, nasz gościu codzienny,  
piosenki, czy krakanie wron, —  
coś ty nazbierał z całego świata,  
a może mi niesiesz dziś list od brata  
z rodzinnych stron?

Tę torbę pocztową, gdzie wszystko zmieszane,  
ty tulisz do siebie jak skarb —  
i nosisz te listy i małe pakunki,  
gdzie miłość i zgrzyty i różne rachunki —  
aż gniotą one ci garb.

Piechurze wytrzymały w tej służbie publicznej,  
twe ramię ugniata ci pas,  
twój płaszcz postrzępiony, spłowiły od słońca,  
a ty listy nosisz i nosisz bez końca,  
a może odpocząć już czas?

Odpocznie się wtedy gdy starość zawita  
i kiedy zabraknie mi nóg,  
lecz póki są mocne i póki mnie noszą —  
ja listy doręczam nie z musu, z rozkoszą,  
spłacając życiowy dług.

## TAM JEST TO MIASTO

Tam jest to miasto —  
domy, a między domami ulice.  
Jest i urząd pocztowy,  
i listonosz w podzielowanych butach.  
Tam była moja młodość i moje życie —  
i tam jest moja pamięć —  
dziś bólem przekłuta.

Poczta listy doręcza,  
prócz jednego — mego listu, —  
nie piszę, bo nikt go tam nie czeka.

Po deszczu i tam bywa tęcza,  
ale nadziei nie ma —

uciekła od człowieka.

## TAM NIE MA PÓR ROKU

Ba, lat tych już całe tuziny —  
w wiązankach poukładane ładnie  
i leżą gdzieś w bezkresach na dnie,  
aż Bóg je do siebie wezwie  
i zliczy dokładnie.

Kto wie dokąd pójdą te lata —  
po nagrodę, czy po karę; —  
tymczasem te kości stare,  
oparte jeszcze na nogach, —  
czekają na wezwanie Boga.

A gdy przyjdzie zawołanie —  
staną przed Majestatem.  
Czy to się stanie zimą, czy latem,  
w dzień, w nocy, czy o zmroku —  
to nie jest ważne,  
bo tam nie ma pór roku.

IV

K R A J

## MODRZEWIOWY DOM

Założyli przyciesie, wiozą bale,  
zwożą radość, którą cieśle  
czterema ścianami otulą  
i szczęście wżegnają modlitwą swej pracy.  
Ludzka nadzieja tam mieszkać będzie.  
Chlebem izba zapachnie, kapustą komora...

Dom łatwo jest zbudować i otoczyć go zorzą,  
a jak go cenić, wiedzą tylko ci, co orzą.  
I jaskółki, zmian pogody barometry latające,  
lubią żyć przy ludziach, pod strzechą.

Dom, otulony sadu cieniem,  
serca rozgrzewa w zaciszu  
radością jego istnienia  
i szczęściem posiadania.

O, kraju z modrzewiową chatą,  
z dziewczętami o płowych warkoczach,  
ze szkołą nauczającą dzieci  
w pięknej mowie polskiej, naszego ducha,  
wolnego od dziesięciu stuleci —  
bądź matką dla swych córek i synów!

O łaskę się modlimy do Wiekuistej Opatrzności.

## ŻYTO

Posiane i rośnie. Nie wiem, czy każdego,  
ale mnie urzeka.  
Chleb powszedni w kłosach. Roku dosiego!  
To dla człowieka.

I faluje łan zboża w polu — jak rzeka,  
jak woda.  
A rolnik modli się, gdy zbiorów czeka,  
by była pogoda.

I zebrał. Wiezie i śpieszy schować w stodole,  
bo burza, bo błyska.  
A ptaki chmurą zleciały się w pole —  
na ścierniska.

Omłócił. I już świeżo upieczone na stole  
razowca bochenki...  
Kto lubi chodzić dość często w pole,  
ten zna treść tej piosenki.



## GANEK

*Stanisławowi Korneckiemu*

Na dachu może sięść ptaszek, a człowiek pod dachem,  
kolumny zdzierzą, powój też go nie zwali,  
strzecha na nim w słońcu się pali...  
Wioska słomy nie zmieni na gonty czy blachę.

Na odwieczerz, gdy słońce stoczy się w topole  
i gdy krowy z porykiem do obory się zbliżą,  
matka, w domu, już z gotową spyżą,  
przywita zgłodniałych z radością przy stole.

A gdy wieczór gwiazdzisty stanie w okolicy,  
na ganku ze skrzypkami, na sosnowej ławie  
siądzie syn gospodarski, a wokół, na murawie,  
przykucną posłuchać inni domownicy.

I popłynie muzyka w wieczorową ciemność:  
krakowiaki, oberki, kliwe kujawiaki,  
aż w ogródku obok chaty roztańczą się maki —  
i taka to jest wieczorna z tego ganku przyjemność.

## PODCZAS BURZY

Czy to grzmot, czy to kwadrygi  
rzymskie po niebie się toczą?  
Uderzył wiatr i słabe łodygi  
połamał ze złością psioczą.

Patrzę przez okno i widzę  
Amazonkę na nieboskłonie.  
Zgaśła. I znowu w kwadrydze  
ktoś goni — po wschodniej stronie.

Nagle Nil wpadł, nie do morza,  
do ziemi — i po nim — noc;  
błysnęła lampa boża,  
łuk Volty, a boska moc.

Święci niebo kropidłem  
żywiznę całą na ziemi...  
Kurczaki pod matki skrzydłem,  
a ludzie pod dachem — przestraszeni.

Wielmożnieje przyroda  
nasycona wilgocią.  
Już i po burzy. Pogoda.  
Nie modlą się już Jurek z cicią.

## SŁÓW MIĘCZAKI CHWYTAĆ

*Hance Biesiekierskiej*

Jeśli chcecie kupić ten cień pod kasztanem,  
to nie ode mnie, bo go wam nie sprzedam,  
umówiłem się z tutejszym księdzem plebanem,  
że cień ten mam dla siebie i nikomu nie dam.

Stąd widok mam na strumyk, jasny i srebrzysty  
i na łąkę zieloną aż po lasu brzegi,  
na młyn wodny, przy którym stoi tuman mglisty  
i wierzb smutnych przy drodze dwa długie szeregi.

Gdzie mi będzie łatwiej, niż tu pod tym drzewem,  
pod kasztanem, w cieniu — słów mięczaki chwycić —  
i ozdabiać je ptaków całodziennym śpiewem,  
żeby ludzie już mogli ptasi śpiew przeczytać.

Co się strofa zbierze — zaklnę ją w niezmiennność,  
dodam blasku i sercem własnym ją przykryję,  
zapiszę, przeczytam — i mam tę przyjemność,  
że to jest już moje, moje — i niczyje.

## PLANY WIOSENNE

Już wiosna.  
Dużo liści na dębczakach,  
zasuszonych jak tabaka —  
czeka... Czego?  
Pełnej śmierci, nie letargu.

Pieśń miłosna  
budzi się w brzozowych krzakach,  
w harcujących wilkołakach,  
a dlaczego?  
Bo na sprzedaż jest na targu.

Kwitną sady,  
płatki lecą, brązowieją,  
wróble w krzakach piórka grzeją —  
wiedzą po co,  
bo na lato robią plany.

Nie ma rady —  
trzeba z pługiem jechać w pole,  
sprawić gniazdo na stodole,  
bo dziś nocą —  
powróciły już bociany.

## SEN NOCY WIEJSKIEJ

O zmroku  
noc wnosi drzemkę na wioskę.  
Co kroku  
widać zmęczoną troskę.

Księżyc  
promienie w mroku tym nikną,  
ulicą  
biegną — aż w polu się skrzykną.

O chaty  
otrą się nieśmiało skosem. . .  
Wąsaty  
chłop biada nad swym losem.

Co roku  
na świat jedno przybywa,  
a o zmroku  
krew na nowo jest żywa.

Zagony  
nie dadzą się już podzielić; —  
bez żony  
ani żyć, ani się weselić.

O zmroku  
noc kładzie na wioskę spanie,  
co roku  
nowa kołyska tu stanie.

I boli  
ta myśl — aż brak mocy,  
on nawet woli,  
by wcale nie było nocy.

## OT, JAK TO BYŁO NA POLESIU

Ach, — morze, morze, —  
śledzie i węgorze —  
i złote rybki gdzieś tam daleko!  
Włazłem w wydłubaną kłodę,  
spoglądam na spokojną wodę —  
i płynę poleską rzeką.

Śledzie są tu u Berka,  
a w domu zacierka  
i słonina w kępuście gotowana;  
zamiast węgorzy — miętuzi,  
a zamiast pomarańcz — harbuzy,  
i jaglanka zabiłana.

Poleszuk kalafiorów nie je,  
wstaje rano, jak dnieje,  
i tylko noc go do izby zagoni.  
Jeżeli nie liszki,  
to chłopcy-malczyszki  
zjedzą niedojrzałe owoce z jabłoni.

Wojna nie jednego zabiła  
w tej wsi, co przy drodze była,  
ale ten, który w głuszy gdzieś siedział, —  
całą wojnę tam przeżył,  
łódką drogę swą mierzył —  
i o wojnie nic wcale nie wiedział.

## MIÓD

Wiosna podała latu rękę.  
Naturze przybył nowy rój ptaków.  
Z wiosny już nie ma znaku.  
Lato śpiewa już swoją piosenkę.  
W łąkach miodu jest tyle,  
że się nasycą,  
nie tylko pszczoły,  
ale i motyle —  
i zaśpiewają piosenkę motylą.  
Piosenkę, której nikt nie słyszał,  
bo ta piosenka taka,  
że musi być cisza,  
a ciszy nie ma w lecie.  
Czy wiecie  
ile w koniczynie miodu?  
Starczy dla całego narodu.  
Ta mucha — tak bzyka i bzyka,  
aż miód się znajdzie w słoikach,  
z nalepkami, na półkach,  
aż pszczołę złapie jaskółka  
i zakończy piosenkę.

## LEŚNA SYMFONIA IGLASTA

W lesie zawsze jest spokój — i to w każdym lesie,  
tylko ptaków pogwizdy i krótkie przeloty; —  
kto ma ból na duszy — niech do lasu niesie,  
wszystkie niepokoje i wszystkie zgryzoty.

Usiądź sobie pod sosną, prostą, czy garbatą,  
i licz na drzewie szyszki zwisające,  
a sosna ci przywróci cały spokój za to,  
za twoją miłość do niej, za słowa gorące.

Znajdziesz tu i ptaszki co uczą się lotu,  
takie słabe, spłoszone ptasie niemowlęta;  
nie pozwól je porwać tu leśnemu kotu,  
ich matka ten czyn twój wdzięcznie zapamięta.

I słuchaj dzięciołów jak takt wybijają,  
jakby dzwonią klekotką tuż przed Wielkanocą,  
aż nabożnie wsłuchane zające klękają  
i leśne gołębie skrzydłami łopocą.

I to jest ta muzyka, która ciszą zwie się,  
bo nie ma tam gwizdów, ni sygnałów miasta,  
nerwy ci odpoczną w wędrówce po lesie,  
a pierś twoją napełni symfonia iglasta.



## MEDYCYNĄ

Jeśli już wyszedłeś na łąki przestrzenie,  
jeśli się nie boisz zielonego uroku,  
przynieś z sobą te twoje zbolełe cierpienie,  
te migreny w głowie, czy to kłucie w boku.

Najpierw zdejm obuwie i schowaj pod liściem,  
wdychaj świeże powietrze porankiem pachnące,  
a gdy będziesz już zdolny biegać zamasyście, —  
hasaj na bosaka po wilgotnej łące.

A kiedy głód poczujesz i lekkie zmęczenie,  
znaczy, że te bóle wypła już rosa.  
Takie to jest na łące pachnącej leczenie,  
kiedy ranne promienie kładą się z ukosa.

## DO KRAJU ZADUMY

Polesie, Polski stara miedzo barwna,  
bazienna połać zadumy i czaru,  
prostotą szczerą i bajką figlarną,  
urzekająca dzikością moczarów.

Wozami skrzypiąca — i była porykiem,  
śpiewem basów cerkiewnych aż po brzegi pełna,  
w nocy kołysana poleskim słowikiem, —  
lny twoje przedziwo i owieczą wełna.

Płowe włosy chłopaków i dziewcząt warkocze  
i teraz widzę jasno mimo lat upływu —  
i widzę jak się żuraw przy studni chybotze,  
i słyszę śpiew żniwiarek — i rosne z podziwu.

Bajko moich wspomnień, poleska kraino!  
Ludu zamyślony, w ziemi zakochany,  
do ciebie moje myśli z tej oddali płyną, —  
na twarzy jestem spokojny, a w sercu splakany.

## Z LUBOŚCIĄ

Z lubością chodzę zawsze po miejscowych lasach,  
gdzie i drzewa karłowe i olbrzymy mocy...  
Usiądziesz i patrzysz jak po lesie hasa  
wolny zwierz leśny — od rana do nocy.

I pszczoły w barciach królują beztrwożnie;  
skąd się bierze pożytek dla tak licznych rodzin?  
I tak nastrojony w tym lesie pobożnie, —  
siedzisz i wcale nie liczysz tych godzin.

A godziny płyną jak ten strumyk w górach,  
bo i tam się zagłada, idąc z leśnej głuszy,  
a bociany krążą wysoko, aż w chmurach —  
i patrząc na to z lubością, odradzasz się w duszy.

I to jest ten sakrament leśnej chwały Boga,  
kolebka powstawania i mogiła końca,  
bez tego serce puste i dusza uboga,  
bo jak inaczej skorzystać z dobrodziejstwa słońca?

## KALENDARZOWE LATO

Zerwałem z kalendarza maj  
i wrzuciłem do kosza.  
Teraz czekam listonosza  
by przyniósł mi czerwcowy raj.

A szkoda tej majówkowej pory  
kiedy róża pączkuje,  
kiedy wszystko zwiastuje,  
że przyjdzie lato i będą pomidory.

A w tym czerwcowym gaju  
zabłysną świetliki.  
Szykujcie koszyki  
po maliny na leśnym skraju.

I dziatwa odetchnie po szkole; —  
wiedzy pełna głowa,  
pełna — aż kwadratowa —  
po tym rocznym mozole.

A ci co w fabryce mrocznej  
nasłuchali się zgrzytu, —  
też wakacyjnego pobytu  
czekają w pogodzie bezobłocznej.

Zerwałem i czerwiec z kalendarza  
i też do kosza wrzuciłem,  
bo czerwca się napiłem  
jak u dobrego włodarza.

Piłem zapachy i wonne rosy,  
nektary i kolory, —  
teraz na pomidory  
czekam — i na pełne kłosa.

Przejadły się czerwcowe sałatki,  
witaminowe dania,  
a teraz — do śniadania  
lepszy byłby chleb, a nie opłatki.

Jakieś boćwinki, chłodniki,  
nadziewane kurczaki, —  
a są pewne oznaki,  
że lato da te wyniki.

I żeby zmian już nie było —  
lipcowej kartki nie zerwę, —  
zarządzam dłuższą przerwę,  
bo w lipcu jest bardzo miło.

## MÓJ DOM

O ziemio poleska, w puszczach zagnieżdżona,  
ty mi stajesz w pamięci po nocach i we dnie,  
grzybami pachnąca, zielenią nasycona,  
do ciebie myśl moja wciąż wraca bezwiednie.

Myślami tam błędzę nad Jasiołdą i Piną,  
po Muchawcu pływam łódką płaskodenną —  
i te wszystkie widoki z oczu mi nie giną,  
choć jestem zajęty swą pracą codzienną.

Wrzosowisko mi pachnie, a na brzegu lasu  
widzę malin kępki, tam pod starym borem, —  
poszedłbym z koszykiem, lecz dziś nie mam czasu,  
a wtedy czasu dość było, w dzień i przed wieczorem.

Spod miedzy wyskoczył duży zajęc-szarak  
i pokucał skokami wprost do lasu w krzaki...  
Piosenka to prosta i jak świat jest stara,  
że spod miedzy wyskakują zajęce-szaraki.

Ale dziś, tu, w tym dymie i jazgocie maszyn,  
tamte leśne wspomnienia o zajęczych skokach,  
są tym ukojeniem i szczyptą okraszyn  
na nerwy stargane w fabrykach i dokach.

A ileż było tajemnic w poleskich moczarach,  
gdzie kwitła pełna wolność ptactwa i zwierzyny, —  
gdy ranek wstał po nocy we mgłach i oparach  
i słońce suszyć zaczęło mokre listki olszyny.

A czyż to nie poezja — to ranne grzybobranie?  
Mokre gałązki sośniny rosą cię przemoczą,  
snu nocy sobie urwiesz, bo rano się wstanie,  
ale w koszu są grzyby — zbierasz je ochoczo.

I liczysz borowiki — na sztuki, na kopy,  
a w oczach stają ci grzyby, nawet później, w domu.  
Dziś, z dala od Polesia, od całej Europy,  
jeszcze się je widzi — dziecinnie, pokryjomu.

I widzi się te czajki, pobudkę grające —  
i błotnych piosenkarzy, cietrzewie na tokach,  
stadko śmigłych cyranek nad bagnami mknące  
i szare gęsi w jesieni, daleko w obłokach.

I gdzie tu szukać prozy w tych bagnach i mszarach,  
w każdym calu poezja tu kwitnie i żyje, —  
płyniesz łódką po rzece, schowany w szuwarach,  
a wszystko co dokoła — poleskie i niczyje.

Poleszuk jest tu panem i tych bagien księciem,  
zaślubiony z lasem, z niedostępną rzeką, —  
cichy mocarz natury, przekonany święcie,  
że Polesie dla niego — i domem, i Mekką.

## WYCIECZKA SZKOLNA

Urzekła nas ta przyroda,  
zbudziła nas polnym dzwonkiem,  
jest nadzieja, że nam doda  
śpiewu kosa ze skowronkiem

Że nam świerszcz zagra na pile,  
chór wróbelków też zacząwiera,  
że się zlecą tu motyle  
i zatańczą nam oberka.

I że bluszcz nas też oplecie,  
że rozszumią się w krąg drzewa...  
Cóż mieszcuchy wy tam wiecie  
jak przyroda na wsi śpiewa?!

Nawet oset swoją krasą  
dotrzymuje innym kroku...  
Ja tu bywam z swoją klasą,  
przychodzimy tu co roku.

Wianki wijemy z rumianku,  
innym razem ze stokrotek,  
ksiądz dobrodziej — nas na ganku  
wita, a na słupku — kotek.

Kury nam gdaczą z przestrichu,  
widząc obok dzieci tyle,  
które boso i po piachu  
tak fruują jak motyle.

Radość miesza się z zielenią,  
śmiech wesoły las rozbudzi,  
dzieci ciszę leśną zmieniają,  
gdy w las wejdzie tyle ludzi.

Nic tak dzieci tu nie cieszy  
jak wiewiórka ogoniasta,  
każde opowiadać śpieszy,  
gdy powrócą już do miasta.



## GRUDNIOWE MARZENIA

Rozgrzały się domy,  
ostygła ulica,  
otwarta już roku  
ostatnia stronica.

Biegają, chuchają,  
drepczą jak perliczki, —  
te mroźne podmuchy  
rumienią policzki.

Na oknach zimowych —  
gwiazdek i mietlicy  
tyle, że przez szyby  
nie widać ulicy.

A sople pod dachem  
jak parkan szczerbaty.  
Warto wejść do domu  
i napić się herbaty.

Przyjemnie też w łóżku,  
gdy mroźny wiatr wieje,  
okryć się i pospać  
aż ranek zadnieje.

Wstawać bez pośpiechu  
i napić się kawy,  
z flintą pójść do lasu  
na pierwsze obławy.

Ustrzelić zająca,  
gdy na strzał wyskoczy —  
i wrócić do domu  
do złotych warkoczy.

Ocieplić się wzrokiem,  
uśmiechem perlistym —  
i przespać się do rana  
w ciepłym łóżku czystym.

## CHŁOP

Śniła mu się brona  
i pług jednoskibowy, —  
zachrapał, aż zbudziła się żona  
i krew mu uderzyła do głowy.

I biegał myślami po zagrodzie:  
na sianie, w grochowinach,  
na rzece w łódce, na wodzie,  
gdy była jeszcze dziewczyna.

Ileż to roków? — wspominał —  
i ileż to razy do roku?  
Ach, krasaś to była dziewczyna  
i teraz ją ma tu przy boku.

I ręką do siebie przytulił  
kobietę, co żarem paliła...  
Tak dobrze przy swojej „matuli“,  
choć pięć razy matką już była.

## NA SKRZYDŁACH

Stach mieszkał tuż pod lasem,  
chatkę miał i pola zagony,  
skowronek go cieszył, a czasem  
krakały mu wrony.

Oborą pachniała zagroda,  
a izba — razowcem,  
w strumyku błyskała woda  
dla Stacha, który był wdowcem.

Nie szła mu jednak robota,  
i w plecach rwały ciążotki,  
w świat go maniła tęsknota,  
a we wsi krążyły plotki.

Serce mu marło bez żony,  
więc oddał zagrodę w dzierżawę  
i ruszył w dalekie strony  
po lek na serce krwawe.

W tym świecie prawie się dobił,  
ale mu ptak piórko zrzucił,  
skrzydło Stach z niego zrobił  
i z niczym do domu wrócił.

## POWÓJ

Do gwiazd ty się śpieszysz, roślinny wężyku,  
po sznurku chcesz wejść do nieba,  
a sam masz tych kwiatów, jak gwiazd, bez liku  
i jeszcze ci więcej potrzeba?

Rankiem, gdy słońce zza gór wszystko budzi —  
i kwiaty, i lasy, i ptaki —  
tyś pierwszy swe czary wystawiasz dla ludzi  
te powojowe maki.

A trzeba dość wczesnie opuszczać postanie  
by czar ten podziwiać i chwalić,  
bo gdy letnie słońce ponad lasem stanie —  
potrafi już kwiaty te spalić.

## WARTO BY ŻYĆ

Mam zinie w ogrodzie,  
a w domu dwie rybki w wodzie  
i stały koło domu wróbla rój, —  
sypnę im co rano ziarna,  
aż zaćwierka wdzięczna ptaszarnia  
i to jest cały majątek mój.

W sercu mam grzech tęsknoty,  
w głowie załączek na wzloty  
i coś podrywa mnie wzwyż;  
mustangiem lecę na błonia,  
aż żal mnie i siebie i konia,  
bo aż boli krzyż.

Zakwili coś w mojej duszy, —  
słucham, nastawiam uszy —  
już wiem, to płacz minionych lat;  
bo te minione lata,  
zgubione po kątach świata —  
i żal mi tych strat.

W kręgielni stoję sam  
i kulę w ręku mam —  
i myślę: zbiję, czy nie zbiję?  
Puściłem. Płynie — krak...  
Zleciały — to dobry znak —  
już wiem, że żyję.

Gdyby kręgielne pionki  
w czarne zamienić czcionki —  
i gdybym mógł je kulą zbić, —  
w wiersze poustawiać  
i z nimi porozmawiać —  
warto by jeszcze żyć.

V

SZPILKI

## PLACEK Z KRUSZONKĄ

(Poemat idio-logiczny)

### *Gorzkie melodie.*

Witraże beznadziejne,  
koła rozklekotane...  
Nie jechać,  
poczekać — aż ustaną  
łobuzerskie śmiechy,  
szydercze docinki.

Robotnicy wiozą kamienie,  
a straż pożarna wodę,  
cement leci w samolocie —  
będą drogi — marzenie —  
i będziemy jeździć po tym błocie.

### *Wzmianka.*

Trochę za dużo kurazu:  
błyskawicą oświetlam garaż  
aż trudno wejść do garażu,  
trzeba by słońca,  
trzeba by słońcem świecić,  
błyskawic boją się dzieci  
i ginie od błyskawic mienie.

Czy za to więzienie?  
Nie. Ostrzeżenie.

### *Na opamiętanie.*

Zawróćcie z drogi,  
dość deptać się w błocie,  
jesteście na szczycie góry,  
której na imię „koniec“;  
nie ma brata w złocie,  
nie znajdziecie i w igrzyskach —  
umrzecie...  
bez nazwiska.

## WYSTAWA DÓBR ZIEMSKICH

Przyciągany magnetycznie do ziemi,  
człowiek pomknął do lotu  
i zawiózł na księżyc odległy  
wzór fabrycznego potu.

I gwizd i jazgot powiezie,  
i turkot maszyn, i wycie —  
niech wie nasz satelita  
jakie tu mamy życie.

Zawiezie też ze szpitali  
gruźlików, nerwowo chorych,  
bo księżyc nic o tym nie wiedział  
zupełnie nic — do tej pory.

W następnej na księżyc wyprawie,  
jako najnowszych turystów,  
zabierze ze sobą paru  
kudłatych gitarzystów.

I narkomanów na pokaz —  
i nawet na rozmnożenie,  
niech wiedzą jakie tu mamy  
na wolnej ziemi — więzienie.

I garstkę kryminalistów,  
co najprzedniejszych z mafii,  
niech tam księżycowej oni  
uczą się geografii.

Póki tam nie ma policji  
i póki nie grożą łapanki, —  
będą się mogli poćwiczyć  
jak potem rabować banki.



I trzeba tam zawieźć lekarzy  
co serca ludziom zmieniają,  
niech przygotowują co trzeba  
i na rozkazy czekają.

Bo ci, co tam mają zamieszkać,  
zanim kroki tam zacząć stawiać,  
trzeba im wyjąć zwierzęce,  
a ludzkie serca powstawiać.

## ROZMOWA Z KSIĘŻYCEM

Mój księżycu kochany, brudne dno patelni,  
jaką moc ty masz w sobie, że urzekasz ludzi?  
Przylecieli do ciebie astronauta dzielni  
i zmęcili twą ciszę, taką, że aż nudzi.

Dotąd lałeś swe blaski na kwitnące serca,  
szukałeś zakochanych pod gąszczem drzew śpiących, —  
dziś tobie złożył wizytę człowiek-lunożerca  
i przywiózł ci słów kilka zielenią pachnących.

W pustce twojej błyszczącej i śmiertelnej ciszy —  
wiatru nasiął ziemskiego i gazu motoru, —  
niech twój kamień wyschnięty ziemski ból usłysz  
i powącha naszego ziemskiego odoru.

Niech zobaczy jak dużo zwad tu i zazdrości,  
jak tu ludzie wzajemnie leją kał na siebie,  
jak nie cenią soczystej ziemskiej zieloności,  
a tylko, mój księżycu, wzdychają do ciebie.

Do tych twoich kamieni połyskliwych srebrem,  
do tarczy twojej bladej w szyderczym uśmiechu,  
bo tu jest jakiś związek z adamowym żebrem,  
że blaski twe skłaniają do ziemskiego grzechu.

## IDŹ!

Kostnieję od chłodu twych słów,  
słów — bez barwy i woni, —  
idź — i nawąchaj się bzów,  
lub białej peonii.

Idź — nad strumyk szemrzący,  
gdzie woda — w kaskadach kamieni —  
doda do słów twych — gorący  
uśmiech i wiązkę promieni.

Idź — zapachem traw w sianokosy  
wygłaskaj i okadź twe słowa,  
ptakom podkradnij ich głosy,  
skowronkiem niech srebrzy się mowa.

Idź — gdzie gołębie gruchają,  
gdzie miłość kwitnie gołębia;  
te ptaki się nie rozstają,  
ich łączy miłości głębia.

I naucz się od nich miłości —  
dozgonnej, nie sezonowej, —  
i niech w twym serce zagości  
decyzja: — „na wszystko gotowej“.

VI

STRĄCZKI

## KLEOFASOWA

Stragany.

Siedząc na zydelku obok,  
Kleofasowa sprzedaje fijołki —  
romantycznie — i zachwala,  
że te kwiaty mają w sobie moc,  
co serca łączy, spaja.

I tak aż do maja.

A wtedy — przechodzi na róże,  
potem na goździki,  
na prymule w doniczkach,  
a gdy i tych już nie ma —  
kończy na chryzantemach.

A gdy przyjdą deszcze  
i koniec na wiązanki kwiatów  
i na kwietne kosze —  
wtedy —  
wynajmuje stragan z dachem  
i sprzedaje —  
kalosze.

## MLECZARZ

Przyjechał mleczarz  
i zaturkotał,  
przyniósł butelki  
i zbudził kota.

Noc jeszcze ciemna,  
w pełni, gwiazdzista,  
a mleczarz odwiedza  
domów — ze trzysta.

Wози i wози  
to mleczko świeże,  
przeważnie w nocy,  
jak nietoperze.

Psy mu szczekają  
na powitanie,  
dla kotów będzie  
z mleczkiem śniadanie.

Brzdące śpią słodko  
w swoich łóżeczkach —  
też chcą się napić  
świeżego mleczka.

## BEZ ZYSKU

Ja piszę,  
a żona sprząta...  
Już słyszę  
jak z któregoś kąta  
kurze wybiera.  
Cóż, podział pracy,  
to nie Samossiera,  
gdzie tylko Polacy.  
Podział sprawiedliwy.

Tak, jak z polskiego powstania,  
ja nic nie mam z tych wierszy,  
a ona — ze sprzątania.  
Ale trzeba coś robić,  
żeby jędrność zachować, —  
tak samo trzeba pisać,  
jak i garnki szorować.

Potrzebne jest powstanie,  
by wykazać siły męskie; —  
lecz walka — to nie sprzątanie,  
z powstania — najczęściej ma się klęskę.

## HURAGAN

Przyleciał dziś dziki wiatr —  
ze zgrzytem, jak nicolejone tryby,  
może aż z dalekich Tatr —  
i powybił nam szyby.

Cały dom się ruszał  
i skrzypiały wiązania dachu,  
ze strachu zemdląła mi dusza  
i serce też biło ze strachu.

Frunęło co było w domu —  
Sukienki, koszule, chusty,  
wokół pełno jest złomu  
i dom prawie całkiem jest pusty.

Poleciały moje prace —  
i wiersze, i eseje,  
przepadły jak z bajki pałace,  
aż diabeł rogaty się śmieje.

Najgorsze, że ubezpieczenie,  
choć ma chęci najszczerze,  
płaci tylko za mienie,  
a nie płaci za wiersze.



## KWARTA WHISKY

Kiedyś, w półciemnym barze  
dwaj podpici malarze  
przy kieliszku szukali natchnienia, —  
weszli z sobą w rozterkę,  
gdy do prochu iskierkę  
dorzucali coraz z podniecenia.

Zołądkował się starszy,  
że pieniędzy nie starczy:  
„Chodź — powiada — do domu, pijaku, —  
zamieniłeś na trunki  
te sprzedane malunki  
i z pieniędzy już nie ma znaku“.

Przy nich siedział poeta,  
dla którego paleta,  
farby, pędzle — to tylko rozchody...  
„Ludzie, ja wam pomogę,  
my znajdziemy tu drogę,  
napijemy się wódki, nie wody.“

„Zachowajcie tu ciszę,  
ja wam wierszyk napiszę  
i sprzedamy go na jarmarku,  
policzymy te grosze,  
was na wódkę zaproszę —  
i to pewne jest jak w zegarku“.

Siedząc na taborecie,  
długo nie myślał przecie  
i napisał strof pół tuzina,  
poprawiał, przeczytał  
i barmana zapytał  
ile za to dostanie się wina.

Barman oczom nie wierzył,  
wzrokiem autora zmierzył  
i powiedział, że strofy te warte  
dobrej whisky, nie wina,  
żeby klin wybił klina —  
i postawił przed nimi kwartę.

## PRZEBRALIŚMY MIARĘ

Wpadłem do niego na chwilę,  
wiedziałem, że coś tam wychyłę,  
bo przyjaźń nasza dość stara.  
Ale cóż? Ten mój kolega  
tak bardzo nalegał —  
aż się przebrała miara.

I poszło.  
Gwiazdki uciekły z koniaku,  
zaczęliśmy je szukać,  
ja coś tam powiedziałem  
i musiałem odpukać.  
„Zaprzęgać — mówię — pojedziemy“,  
a on krzyczy — „Osiodłać!“  
Jest pokój, a butelki lecą.  
Gdzież my tu siodło znajdziemy,  
szukaj ze świecą.

Coś się z tą twarzą stało...  
Okna też jakoś zamglone...  
Piliśmy tak mało,  
a drzewa — czemuś — nie są zielone.

Schylił się mój kolega  
i coś mi pokazuje na migi.  
„Dokąd jedziesz — pytam?“  
Powiada:  
„Jadę do Rygi“.

„A gdzie twój koń, koniarzu?“  
A on mi na to:  
„Zostawiłem w Zbarażu“.  
„A twój, ty ludzka strato,  
może skradli go dorożkarze?“  
„Nie — powiedziałem —  
Zostawiłem w Barze“.

Gorąco!  
Wody!  
Coś się pali.  
A skąd się wzięło tu błoto?  
Jużeśmy przyjechali.

I poszliśmy piechotą.

## PRZY KOLACJI

W wybornym alkoholu skąpawszy się toni —  
stałem się inny, ważniejszy niż dawniej,  
teraz mi wzroku już nic nie zasłoni,  
choć widzę podwójnie, lecz jakże zabawniej.

W głowie mi szumi, jak w czubkach drzew w lesie,  
taniec — to mi zwykłe codzienne zajęcie,  
dusza do tańca jak wariatka rwie się,  
lecz nogi jakoś wędłe na to przedsięwzięcie.

I słodko mi z wami, bo wszyscy jak moi,  
wszyscy są znajomi i zaprzyjaźnieni...  
Księżyc na mnie patrzy, na drodze mi stoi, —  
już mam go tu w ręku i chowam do kieszeni.

A te wszystkie gwiazdeczki, co wiszą na niebie,  
zgarnę zaraz do kosza z pomocą cheruba,  
który mi pomaga w niezwykłej potrzebie —  
i oddam wszystkie tobie, bo jesteś mi luba.

I cóż, czy to nie jest święto wolnej demokracji?  
Trzy gwiazdki na koniaku jak na kapitanie...  
Zatańczył świat hozanną nam tutaj przy kolacji  
i bąkiem nam się kręci i ciągnie na posłanie.

## SZARUGA

Deszcz siecze o szyby  
i chlapie na drodze,  
coś tam w plecach strzyka  
i kręci coś w nodze.

Upiory harcują  
w ciemnościach na strychu,  
a zegar wylicza  
sekundy po cichu.

Szaruga jesienna  
rozwleka się w czasie,  
moczy wszystko na zewnątrz  
i do wnętrza pcha się.

Noc kirem przyryła  
osiedla i lasy,  
a wiatr z deszczem zbratany  
robi wywijasy.

Liście z drzew pozrywał —  
mokre, zwisające —  
i trawy ponakrywał  
więdłe i żółknące.

Ptaszki pod dachami  
wczekują ranka...  
W ciepłym łóżku, w domu  
tuli się kochanka.

Deszcz siecze o szyby,  
że aż sen się płoszy,  
ale nie przeszkadza  
miłosnej rozkoszy.

## „MAT“

Ileż to tych sztyków moskiewskich pod dachem?  
Jeszcze ta zima nie przyszła z rozmachem,  
a wam tu tak śpieszno straszyć ostrzem ziemię; —  
przechodził ktoś bez czapki i lód uderzył go w ciemię.

Zgłupiały wiatr nie uśnie nawet w nocnej porze,  
ciągnie zimno z północy ile tylko może,  
a w kominie siedzi wiedźma z biesów gronem  
i jeden z nich trzaska po dachu ogonem.

Na kobzie popiskuje i szybrami klapie, —  
a my to słuchamy, siedząc na kanapie, —  
na stoliku obok wystyga herbata,  
a ja koniem poszedłem i zrobiłem „mata“.

## POD LIPĄ

Wschód już się jarzy rumieńcem,  
jasność przez chmury przenika...  
pod lipą wciąż jeszcze, z młodzieńcem  
pieści się Weronika

I były dwa serca kołatką —  
i krew gdzieś aż w uszach szumiała...  
Od dziś ona stanie się matką,  
a tak bardzo tego się bała.



## MIÓD KASZTELAŃSKI

Miód kasztelański zaszumił mi w głowie,  
tak mi tu jest dobrze z wami przyjaciele, —  
zwyczajna mowa tego nie wypowie  
jak ten miód tam krąży w naszym ludzkim ciele.

Dzikiego mustanga podajcie mi chłopy —  
i uzdę złotą, sadzoną gwiazdami, —  
pogonię na nim prosto do Europy,  
aż ziemia zadudni nam pod kopytami.

A kiedy chuchnę miodem kasztelańskim,  
aniołów przede mną zjawi się gromadka,  
koń stanie dęba na wybrzeżu gdańskim  
i nikogo nie zdziwi miodowa zagadka.

Bo dla naszych ludzi miód to nie nowina,  
Zagłoba mu stworzył nieśmiertelną sławę, —  
gdy mu się zdarzyło — popijał i wina,  
lecz mówił, że wino — raczej jest plugawe.

Nigdy mi nie będzie lepiej w moim życiu, —  
wszystkie whisky i „dżiny“ utopić w bajorze,  
mam skrzydła i lecę po miodowym picciu,  
bo miód wszystko maluje w różowym kolorze.

## CYGANIE

Przyjechali budą koczowniczą, —  
teraz kury we wsi policzą —  
i zagrają na skrzypkach z Bartoka,  
przepowiednię zaćmią proroka.

Zagraj rzewnie, zagraj Cyganie!  
Jej się Cygan podoba, nie granie; —  
w świat by poszła za nim z tą budą,  
ele cóż — sama biała i białe ma udo.  
Z tańcami — to jakoś poradzi,  
ale kto ją na Cygankę okadzi?  
Serce płacze by jechać z tą furą,  
serce nie wie, że białą ma skórę.

Graj, Cyganie, graj na pożegnanie,  
z żalem, ale ona... zostanie.

## NA SZPICU AFRYKAŃSKIM

Capetown, Góra Stołowa —  
czarni ludzie, biała mowa...  
Złoto tu na wagę śniegu, —  
tu Nadzieja na tym brzegu.

Groźny ocean Indyjski  
spędzał sen całej załodze, —  
istny węzeł to gordyjski  
płynąć tydzień w ciągłej trwodze.

Wreszcie ta Góra Stołowa  
wyłoniła się z mgieł rannych...  
Wszystkich już bolała głowa  
z tyłu nocy nieprzespanych.

Odetchnęli już Nadzieją,  
tym Afryki ostrym szpicem; —  
marynarze już się śmieją,  
odświeżając stare wice.

Będą mieli odpoczynek,  
coś na handel też się kupi;  
kto nie pójdzie do Murzynek,  
ten jest na sto procent głupi.

## JA CHCIAŁEM...

Ja chciałem kiedyś rządzić,  
kierować i włodarzyć, —  
a dziś — żeby nie błędzić —  
wolę samotnie marzyć.

Ja chciałem kiedyś chodzić  
z ludźmi, w licznym gronie, —  
a dziś ja wolę brodzić  
samotnie, gdzieś na stronie.

Pragnąłem też majątku,  
fortuny książęcej,  
a dziś — w cichym zakątku —  
chcę pisać... i nic więcej.

## MOJE SNY ŁASKAWE

Modłę się o słowo,  
za ten dar dziękuję.  
O, nasza złota mowo,  
z tobą się ucztuje!

Idę życia pasmem,  
wysłanym przede mną —  
i codzień, nim zasnę, —  
mowa gwarzy ze mną.

Biorę słów gromadę  
i wiążę je w zdania,  
a potem się kładę  
gotowy do spania.

Śnią mi się litery  
i słów różne szyki,  
pióro i papiery  
i nowe wierszyki.

Rano, gdy się budzę,  
spisuję te zjawy,  
wiele się nie trudzę,  
bo sen był łaskawy.

## TEN MASZYNOPIŚ

Ten maszynopis, garść moich myśli,  
wetkanych na papier, jakby je wbił,  
kocham jak matka swoje niemowlę,  
albo jak rolnik swoją hodowlę —  
ze wszystkich sił.

Książeczko moja, wiązko mych marzeń,  
ozdobnych w rymy, jak złotogłów,  
wiązki promieni zebranych z pola  
i wyłuskana ludzka niedola —  
zbiór moich snów.

Trącam bezwiednie struny napięte,  
myśli człowieka, serdeczny ból,  
a jak to robię — nic mnie nie pytaj,  
tylko te wiersze cierpliwie czytaj —  
i do serca tul.

Płaczą w tych strofach ci, co im lecą  
łyzy, jak te perły na listkach w deszcz, —  
tak było zawsze na tej naszej ziemi  
i tego człowiek żaden nie zmieni,  
ni żaden wieszcz.

A czasem znowu, gdy słońce przygrzeje —  
i gdy się rozhulam jak wolny pan,  
wtedy, uwierzcie mi, przyjaciele,  
znowu przeżywam w życiu wesele —  
puszczam się w tan.

A gdy przypomnę naszą Ojczyznę —  
wtedy śmiech niknie i staję się zły; —  
my po tym świecie niby w przytułkach,  
a kraj nasz od wieków jakby na kółkach —  
i lecą mi łyzy.

## SPIS RZECZY

	Str.
A gdzie są prochy?	7
Uczynek	8
Cisza	9
Rex Christe	10
Msza w lesie	11
Modlić się można wszędzie	12
Kościół	13
Przed tronem Stwórcy	14
Spowiedź w lesie	15
Trzy światła w lesie	16
Posąg	17
Przepraszam	21
Szara godzina	23
Po rosie	24
Strofa o guziku	25
Rozmowa z Żydami	26
Mojżesz	27
Strofa o oczekiwaniu	29
Jerycho	30
Leć do nieba bez nogi	33
Tam gdzie chodziłem	37
Testament	38
Zarosła nasza droga	39
Przepadły o nim wieści	40
Rozmowa z inwalidą	41
Mowa ojczysta	42
Oni z Piasta-kołodzieja	43
Garść wspomnień	45
Tamto wciąż wraca	47
Szkic wojenny	48
Jakaż tam trawa już wyrosła?	49
Rozmowa z listonoszem	50
Tam jest to miasto	51
Tam nie ma pół roku	52
Modrzewiowy dom	55

Żyto	...	...	...	...	56
Ganek	...	...	...	...	57
Podczas burzy	...	...	...	...	58
Słów mięczaki chwytac	...	...	...	...	59
Plany wiosenne	...	...	...	...	60
Sen nocy wiejskiej	...	...	...	...	61
Ot, jak to było na Polesiu	...	...	...	...	62
Miód	...	...	...	...	63
Leśna symfonia iglasta	...	...	...	...	64
Medycyna	...	...	...	...	65
Dó kraju zadumy	...	...	...	...	66
Z lubością	...	...	...	...	67
Kalendarzowe lato	...	...	...	...	68
Mój dom	...	...	...	...	70
Wycieczka szkolna	...	...	...	...	72
Grudniowe marzenia	...	...	...	...	73
Chłop	...	...	...	...	74
Na skrzydłach	...	...	...	...	75
Powój	...	...	...	...	76
Warto by żyć	...	...	...	...	77
Placek z kruszonką	...	...	...	...	81
Wystawa dóbr ziemskich	...	...	...	...	82
Rozmowa z księżycem	...	...	...	...	84
Idź!	...	...	...	...	85
Kleofasowa	...	...	...	...	89
Mleczarz	...	...	...	...	90
Bez zysku	...	...	...	...	91
Huragan	...	...	...	...	92
Kwarta whisky	...	...	...	...	93
Przebraliśmy miarę	...	...	...	...	95
Przy kolacji	...	...	...	...	97
Szaruga	...	...	...	...	98
„Mat“	...	...	...	...	99
Pod lipą	...	...	...	...	100
Miód kasztelański	...	...	...	...	101
Cyganie	...	...	...	...	102
Na szpicu afrykańskim	...	...	...	...	103
Ja chciałem...	...	...	...	...	104
Moje sny łaskawe	...	...	...	...	105
Ten maszynopis	...	...	...	...	106